

A black and white photograph of a garden. In the foreground, a large, ornate stone urn sits on a rectangular pedestal. A cherub-like figure is perched on the rim of the urn. To the left, a tall, slender statue of a woman stands on a pedestal. In the background, several other similar statues are visible, spaced out across a lawn. The background is filled with dense, leafy trees under a cloudy sky.

BOCZNY TOR 185

TEKSTY NIEPOTRZEBNE

GŁADKO W DÓŁ (OD REDAKCJI)

Choć z głowy, to bez głowy – nieważne, czy do połowy puste, czy do połowy pełne, czarne i białe jest w kolorach, ale kolory szare, jakieś takie nijakie. Że listopad? I dobrze, że listopad. Listopad to miesiąc bez złudzeń. Nie przemawia przez nas złość. Może powinna. Przygotowaliśmy na dziś odsmażony w głębokim tłuszczu kotlecik, który wypadł z nieodkniętej zamrażarki. Smacznego nie życzymy nikomu. Mamy w ofercie nieświeży, śmiechu wart, obrzydliwie głupi i niepotrzebny tekst. Tak to jest, gdy uczucia wygaszone i gdy nie ma z kim pomilczeć w huku fajerwerków. Słowa nie układają się po naszej myśli. Zapewne z dwóch przyczyn, która jest jedną. Po pierwsze: nie mamy nic do dodania od siebie, po drugie: chcemy to jednak wyrazić. W dodatku czytamy ostatnio ku zgubie własnej i naszych oddalających się bliskich książki z czarnej serii zwyrodnialców, którzy nie kryli się z pogardą do świata (nazwiska znane redakcji). I wypełnia nas nieustająco bezbrzeżna gorycz. Dusząca magma, tak czujemy. Nic, tylko mizantropia i entropia. Mądre, ważne, wznoszące, na czasie i perspektywne – nie tu, nie teraz. Listopad, więc gnije, co ma zgnić.

Nie wierzymy w zrozumienie. Nie wierzymy w porozumienie. Wierzyliśmy za młodu, że wiara góry przenosi, ale dziś wiemy – to taka scheda zgreda – że nie tam przenosi, gdzie tego oczekujemy, i nie te góry, które pragnęliśmy zdobywać. Między pustymi wierszami docierają do nas przez szparę pod drzwiami sygnały, że świat się jednak nie skończył. Sączy się zewsząd, naprzemiennie i mieszając, niezrozumiała euforia i niezrozumiałe wybuchy oburzenia. Niepojęte mrowie mów przerożnych. Tak różnych od tej mowy, dzięki której nauczyliśmy się kochać, mieć nadzieję... Stop! Mrozi nas ten pochód donikąd. Mowa zewsząd otacza nas pokrętna. Mowa nienawiści do słów. Mowa plastikowych brzuchomówców na baterie z dyskontu. Mowa ze szpalt gazet, które wprost z drukarni trafiają na przemiał. Mowa od szablonu. Mowa z wyszukiwarek. Mowa generałów wskazujących z taboretu na bujane koniki. Mowa świętych wniebowziętych, którzy jak grzechu boją się milczenia. Mowa niemowy, tele-mowa. Mowa umarłych poetów. Mowa znajomych umarłych poetów. Mowa trawa. Nasza mowa napuszczona. Każdy chce dać wpis do księgi cytatów, ale kartki powyrywane. Dupa blada, a nie sens. Słowami nie przejdzie. Słowami się dzieje chaos.

Jakkolwiek krzykliwa i wrzasku pełna, niedorzeczność życia jest sama dla siebie głuchą otchłanią i to wystarczy za wstęp, zakończenie, całe obszary reszty wypełniane miazgą słów. Nie wyciągajcie wniosków, bo ich nie ma. Losujemy puste losy. / BT, 24 listopada 2015



foto: Krzysztof Szewczyk

NIE STÓJ W BIEGU

Patrzeć w jasne, chyba błękitne, oczy – patrzeć ze wstrzymanym oddechem, jakby nie było niczego przedtem, nie miało stać się nic potem, jakby nie było tej półtoraminutowej wyrwy w czasie, tylko te oczy, chyba błękitne. To się nie miało prawa powtórzyć, nie zasłużyłem na karę powrotu do młodości. Zbyteczne pulsowanie żalu, gdy trzeba wstać, zwolnić miejsce, wyjść, zniknąć. Nienamalowany obraz na podobieństwo zapomnianego snu – w miejscu wzruszenia.

IGLASTE, ALE NIE MODRZEW

Notuję, żeby przestać już o tym myśleć. Dziś trzecia rocznica pierwszej. Albo pierwsza trzeciej, bez różnicy. Od trzech lat nie dotknęła mnie niczyja dłoń. Od trzydziestu sześciu miesięcy nie używałem szeptu. Od stu pięćdziesięciu sześciu tygodni nie patrzyłem w oczy, by ujrzeć, jak powiększają się źrenice. Od tysiąca dziewięćdziesięciu pięciu dni nie wstawałem budzony. Policzyłem, ile godzin i minut daremnie poświęciłem sobie. Czuję, jak z każdą sekundą dłuższy stają się łatwiejsze do zniesienia. Zamieniam się w drzewo.

METALICZNA MELODIA PARAPETU

Rozpadało się. Za oknem, moje życie. Całkiem według prognoz. Nikomu nieprzydatne smutki garną się dziś do mnie, by wypaczyć nadzieję, wyplukać rozpacz jak z mułu złoto. Kto nie wie, jak dotrzeć do morza, niech trzyma się rzeki? Nie tym razem, już nigdy. Kiwam się z myślami: lepiej być chorym optymistą czy zdrowym pesymistą, cieszyć się z niczego czy niczym nie cieszyć? Szumi jak w uszach pod wodą metaliczna melodia parapetu. Nie wypala dziur w sercu, przeciwnie – nastraja w zgodzie z pogodą, czyli rozstraja. Brrr! Źle to brzmi, byle jak: metaliczna melodia parapetu! Nieopisane dźwięki deszczu, kojący rytm spadających kropel uderzających o blachę... Nie tak, nie tak. Wszystko jeszcze można skreślić, zawsze na nowo napisać – hałas deszczu jest niehałaśliwy, wyciszający. Czuję senność. Odliczam do stu możliwości, sto pierwsza jest wciąż ostatnim, nieznanym jeszcze życzeniem, którego nigdy nie da się spełnić. Wielkie kwantyfikatory czynią ze mnie karła. Bezradność, rozczarowanie, nic ponad. Niektóre słowa skleją się w zdania, inne niektóre odrywają się w inne zdania, pozostałe niektóre, nie są innymi, które... Pada. Pada za oknem i coraz mocniej na głowę. Nic nie

poradzisz w taki dzień. W takie dni myślisz zachmurzonymi myślami. Według prognoz jutro roz pogodzenie. Kiedy pogodzenie? Nie znajduję odpowiedzi w tym, co czytam, nie znajduję jej w sobie. Pada. Padam w deszcz, a metaliczna melodia parapetu to mój hymn odśpiewany na leżąco. / max zweit



foto: Krzysztof Szewczyk

ŻÓŁCIĄ Z ŻOŁĄDKA

Wszyscy wszystko wiedzą lepiej i są zachłannie aktualni. Ha! Po nas tylko mrok i pustka. Za nami mgławica nieposkładanych doświadczeń. Co z tego, że „smutne, ale ładnie napisane”, „mądre, ale niezrozumiałe”, że „coś w tym jest, ale co?”. Rozgoryczenie to słaba taryfa. Złudzeniami karmi się świat. Na deserek: „ładna fraza”, zdarza się. Nie to zapycha aorty, nie to. Nie namówicie mnie na jogę w parku, spacer szlakiem romantycznych dachów, półmaratony, finisaże, wyprzedaże cudzych marzeń, plenerowe koncerty z degustacją bezkofeinowej kawy. Widzę, co widzę, czytam wbrew zrozumieniu, przecież nie zamykam oczu na świat nowych technologii, jestem kreatywny w niedziałaniu. Proszę, nie wyciągajcie ze mnie trupa. Ja żyję. Każdy ma w sobie jakiegoś pasożyta. Kładę się spać, jakkolwiek zmęczony, żeby zbudzić się tam, gdzie położyłem się do snu. Na co mi wczorajsza aktualizacja, jeśli w nocy stała się nieaktualna? „Znajdź w życiu szczęście i spełnienie, to najważniejsze” – mówimy tak dzieciom, skazując je na wieczną tulaczkę po pustyni. Dlaczego nie mówimy tak do roślin, które hodujemy na balkonie?

POETA, POETA – TYLKO GŁOWA NIE TA

Jeszcze bez własnego głosu, już bez włosów. Jeszcze przed debiutem, już ze sporym debetem. Cały dorobek w szufladzie pożyczonego biurka.

PODAJ DALEJ

Małe dziecko chce chwycić piłkę, schyla się po nią, wyciąga rączki, lecz nogi są bliżej i piłka ucieka. Próbuje raz jeszcze. Kopnięta piłka ucieka. Próbuje ponownie. Dorosły chwyta piłkę i...

WYPRACOWANIE

Minałem wiele drogowskazów. Spotkałem niemało osób, których wyraz twarzy, wyprostowana postawa i sprężyste ruchy powiedziały mi, jak żyć. No tak, bez wątpienia: najważniejszy jest cel, do którego zmierzasz. Wyglądali na szczęśliwych. Na drogowskazach nazwy bliższych i dalszych miejsc do zobaczenia, zamieszkania. Świat na wyciągnięcie ręki i wciąż oferujący zmianę. Przecież to takie proste: kochać i być kochanym.

ZGORZKNIAŁY ENTUZJASTA

To dopiero ironia: nie czuję ironii.

ROZPUSZCZALNIK (CYTATNIK)

Przed oddaniem książki do biblioteki wpis ku pamięci: „Żyjemy przekonani o prawdziwości pewnych hipotez. Że na przykład pamięć to wydarzenia plus czas. Ale sprawa jest o wiele bardziej osobliwa. Kto to powiedział, że pamięć jest tym, co – jak się nam wydawało – zapomnieliśmy? Powinno być dla nas oczywiste, że czas nie działa jak środek utrwalający, lecz raczej jak rozpuszczalnik. Nie jest jednak wygodnie – nie jest użytecznie – wierzyć w coś takiego; to nie pomaga nam zmagać się z życiem, więc to ignorujemy”.

/ Julian Barnes, *Poczucie kresu*, przeł. Jan Kabat, Warszawa 2012, s. 77



foto: Krzysztof Szewczyk